



24 Pokolenie Z woli być niż mieć



28 Tygrysi biznes



49 Hohenzollernowie wykupują Niemcy

Temat tygodnia

- 14 Mariusz Janicki
Kwadratura prezydentury

Polityka

- 18 Anna Dąbrowska, Joanna Sawicka
PSL: miejska partia wiejska
21 Jacek Żakowski
Co z tym ludem?

Społeczeństwo

- 24 Rozmowa z socjolożką dr **Joanną Wardzałą** o pokoleniu 20-latków odrzucających konsumpcyjny styl życia rodziców
28 Agnieszka Sowa
Nielegalny biznes wokół egzotycznych zwierząt
31 O gościach i pani ministrze: w dyskusji na temat żeńskich końcówek głos zabiera językoznawca, prof. **Marek Łaziński**
34 Martyna Bunda
Okręt Ślązak gotowy, ale po co?
36 Agnieszka Sowa
Chorzy na POChP duszą się, czekając na NFZ

Rynek

- 38 Adam Grzeszak
Auta rozjeżdżają miasta
42 Ryszarda Socha
Jak PGNiG dosala Zatokę Pucką

Świat

- 46 Łukasz Wójcik IRAK
Revolucja tuk-tuków
49 Filip Gańczak NIEMCY
Hohenzollernowie próbują odzyskać utracony majątek
52 Tomasz Maćkowiak
30 lat po obaleniu komunizmu Czesi i Słowacy znów walczą przeciw władzy

Historia

- 54 Jan M. Długosz
Bitwa o Midway: kłęsa cesarskiej floty
58 Instytut Pamięci Narodowej: kto z kim i o co się kłóci opowiada prof. **Grzegorz Motyka**

Nauka

- 62 Andrzej Hołdys
Skąd się wziął tlen?
65 NIE/PRAWDA, ŻE
Przegląd odkryć i przykryć
66 O opisywaniu życia za pomocą matematyki opowiada **Iwona Chlebicka**, laureatka Nagrody Naukowej POLITYKI
68 Paweł Walewski
Jak zreformować psychiatrię, żeby naprawdę pomagała

Ludzie i style

- 70 Agnieszka Rodowicz
Niepełnosprawni uprawiają ekstremalne sporty
74 Jagienka Wilczak
Szkoła dla osłów

Kultura

- 80 Piotr Sarzyński **Polska gościnność: jak praktyka rozjeżdża się z teorią**
84 Joanna Brych **Rzeczywistość w szkołach baletowych**
88 Michał R. Wiśniewski
Superbohaterowie są zmęczeni
90 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**
91 KAWIARNIA LITERACKA **Renata Lis**
92 Rozmowa z **Kenem Loachem**, reżyserem filmu „Nie ma nas w domu”

Na własne oczy

- 100 Juliusz Ćwieluch
fotografie Rafał Milach
Co zostało z muru, który dzielił Berlin

Stałe rubryki

- 6 Mleczko i Mizerski
- 7 Ludzie i wydarzenia
- 44 Przegląd informacji rynkowych
- 76 Afisz • 94 Passent • 96 Stomma
- 97 Tym • 98 Mizerski na bis
- 99 Do i od redakcji
- 106 Polityka i obyczaje

HUBLOT



W. KRUK

1 8 4 0

hublot.com • f • t • i

CLASSIC FUSION

Koperta z tytanu. Mechanizm z naciągami automatycznym.



www.mleczko.pl

GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Zdrowa Polska

Nazwa „Polska” znajduje się pod szczególną ochroną prawa, dlatego kto „Polskę” obraża, musi się liczyć z konsekwencjami. Niedawno jako żarliwy obrońca „Polski” wystąpił prezes TVP, nie dopuszczając do emisji spotu pt. „Polska to chory kraj”, przygotowanego przez Okręgową Izbę Lekarską. Zdaniem prezesa zwrot, że coś jest chore, „ma w sobie elementy agresji i jest eufemistycznym wulgaryzmem”, dlatego linia programowa TVP, zdrowa i propolska, takiego zwrotu w odniesieniu do Polski nie może zaakceptować.

Nie dziwię się prezesowi, że na eufemistyczne wulgaryzmy wobec Polski się nie godzi, zwłaszcza że jest ona zupełnie zdrowa. Zawdzięcza to rządowi PiS, który, po pierwsze, nie wpuścił do niej naszpikowanych pasażerami imigrantów, a po drugie, aktywnie zwalcza osoby LGBT roznoszące zarazy takie jak tolerancja. Zresztą gdyby Polska była chora, to w Marszu Niepodległości nie brałoby udziału tak wielu zdrowych, silnych Polaków. A poza tym zakwestionowany spot „Polska jest chora” wyraźnie pokazuje, jak na sali szpitalnej padają kolejni pracownicy służby zdrowia, co świadczy o tym, że to oni powinni się leczyć, a nie Polska.

Miejmy nadzieję, że stan zdrowia pracowników służby zdrowia poprawi się, gdy pójdą śladem polskich leśników, którzy



decyzją dyrektora Lasów Państwowych na Jasnej Górze powierzyli siebie opiece Matki Boskiej. W skierowanym do Matki Boskiej Akcie Zawierzenia dyrektor swoją decyzję motywował tym, że w kraju toczy się „bój istotny dla naszego narodowego bytowania”, a leśnicy znaleźli się „na pierwszej linii walki o niepodległą Rzeczpospolitą”. Dyrektor wyraził nadzieję, że Najświętsza Panienka zadysponuje mocą, która pozwoli „oślepić naszego przeciwnika i doprowadzić nas do zwycięstwa”. I aby tej mocy wyjść naprzeciw, w imieniu swoim i leśników zadeklarował moralną odnowę, w szczególności wyrzeczenie się „narodowych grzechów i przywar: pijaństwa, rozwiązłości, nieuczciwości, rozpasania, chciwości”.

Jest to deklaracja ważna, pokazująca, że chociaż środowisko leśników jest dziś moralnie słabe, to drzemie w nim szczerą chęć poprawy. Uważam, że leśnikom można wiele zarzucić, ale warto docenić fakt, że pomimo szerzącego się wśród nich pijaństwa, rozwiązłości, nieuczciwości i chciwości przez lata zdołali jakimś cudem ustać na straży Lasów Państwowych i nie rozkraść tej instytucji do szczytu. Tym niemniej po ujawnieniu przez dyrektora Lasów Państwowych skali grzechów i przywar tego środowiska jest dla mnie jasne, że ani leśnicy, ani Lasy Państwowe bez pomocy Matki Boskiej na prostą nie wyjdą.

Bez Tuska



Jerzy Baczyński

Sądziłem, że Donald Tusk wystartuje w tych wyborach prezydenckich, a na pewno, że powinni. Sądziłem też, że ma ochotę wystartować; gdyby nie zakładał startu, mógł to na sto sposobów powiedzieć i przed rokiem. Zresztą zaraz na początku grudnia zaplanowano promocję książki Tuska „Szczerze”, co wyglądało na standardowy początek kampanii. Motywy nagłej, zaskakującej rezygnacji nie są do końca jasne. Mogły to być, jak plotkowano, złe sondaże; mogły być powody osobiste, rodzinne, obawa przed zorganizowanym przez TVP Kurskiego hejtem – lub wszystko po trochu. Sam Tusk powiedział tyle, że jego kandydatura byłaby „obciążona bagażem trudnych, niepopularnych decyzji”, a tym samym – czego już nie dopowiedział – ułatwiłaby kampanię Dudy i mobilizację wyborców PiS.

Ten argument jest prawdziwy, lecz odwracalny: Tusk mógł – i tego już nie sprawdzimy – skutecznie mobilizować bardzo szeroki elektorat antyPiSu. Nie tylko ze względu na osobiste kompetencje, autorytet, doświadczenie kampanijne, ale i pewną „nadpolityczność”. Jego Europejska Partia Ludowa (której zapewne będzie teraz przewodniczył) od dawna pokazuje, jak w miarę bezkonfliktowo godzić wrażliwości polityczne od prawa do lewa, od chadecji po zielonych. Uważam (o czym pisałem w poprzedniej POLITYCE), że „Tusk 2.0” byłby w drugiej turze polskich wyborów absolutnie do zaakceptowania i przez elektorat PSL, i przez lewicę. Warunkiem byłaby jednak sprawna kampania. I może tu trzeba się domyślać powodów rezygnacji Tuska – on sam raczej nie powie o tym „szczerze”.

Politolog prof. Andrzej Rychard publicznie wyraził to, co wielu wyborców opozycji myśli: „nie Tusk zrezygnował, ale z niego zrezygnowano”; wobec niezyczliwosci, a może i wrogości Schetyny, Tusk miałby kampanię jeszcze gorszą niż ta, którą PO zgotowała Bronisławowi Komorowskiemu. Nawet jednak nie zakładając złej woli i intryg, należało się obawiać zwykłej nieudolności. Przed wyborami parlamentarnymi Grzegorz Schetyna miał opinię polityka mało charyzmatycznego, ale za to świetnego organizatora. W kampanii mit przysł. Widać, że ktokolwiek będzie teraz kandydatem KO na prezydenta (o karuzeli rywali czytaj s. 14), musi w znacznym mierze polegać na sobie, budować własne zaplecze, kontrolować sztabowców.

A przecież kampania Tuska zakładała dodatkowe trudności: trzeba by wytłumaczyć i oczyścić z pisowskich pomówień nie tylko brukselską misję przewodniczącego, ale przede wszystkim – z kilkuletnim opóźnieniem – bronić „trudnych decyzji” sprzed 2015 r. Wtedy mieliśmy jedną z najdziwniejszych kampanii w dziejach współczesnych demokracji: tzw. pies z kulawą nogą nie przyznawał się do 8 lat mijającej kadencji. Później zresztą też nie; nawet oczywiste osiągnięcia zostały osierocone. Jeśli szukać „winy Tuska”, to ta jest ewidentna – zupełnie nie przygotował partii na własne odejście.

Słusznie dziś się wypomina i przypomina, że Donald Tusk, „wyjął” intelektualnie PO, nie dbał o budowę eksperckiego zaplecza i „instytucjonalnej pamięci partii”, nie utrzymywał regularnych kontaktów z ważnymi dla PO środowiskami (w tym sensie, według definicji Jacka Żakowskiego na s. 21, był bardziej republikaninem niż demokratą), łatwo pozbywał się dawnych politycznych przyjaciół, partnerów, potencjalnych konkurentów, a więc i następców. Podobnie jak Kaczyński im był mocniejszy, tym stawał się coraz bardziej samotny. Ciekawe, że (tu też jak Kaczyński) mężczyznom ze swojego kręgu narzucał dominację,

okazywał natomiast szczególną rewerencję wobec kobiet. Nieprzypadkowo swoją następczynią uczynił Ewę Kopacz, promował na najwyższe funkcje Małgorzatę Kidawę-Błońską, na unijnego komisarza wytypował Elżbietę Bieńkowską (w Brukseli Paweł Graś pełnił przy Tusku rolę podobną jak – przy zachowaniu proporcji – kard. Dziwisz przy Janie Pawle).

Wyjeżdżając do Unii, Tusk nie zostawił w partii sojuszników, swojej drużyny, nawet dobrych wspomnień, więc i trudno się dziwić, że odbudowana przez Schetynę PO nie jest już jego zapleczem. Również przez ostatnie pięć brukselskich lat nie dbał o odbudowanie relacji ze Schetyną i ważnymi działaczami, nie sprawiał wrażenia, że w ogóle interesuje się partią, przyjeżdżał raz na jakiś czas w roli *visiting star*. Byłby świetnym kandydatem i jeszcze lepszym prezydentem, ale specjalnie w to przedsięwzięcie nie zainwestował.

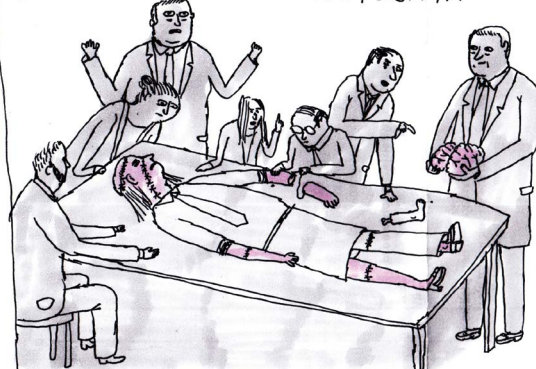
Niedługo poświęcimy więcej miejsca opisaniu niezwyklej politycznej kariery Tuska, która na scenie krajowej dobiega końca (lub przynajmniej na dłużej się zawiesza). Bo Donald Tusk to absolutny fenomen: byli przecież bardziej od niego zasłużeni założyciele III RP, ale to on – także na świecie – stał się politycznym symbolem polskiej transformacji (tak jak Wałęsa symbolem obalenia komunizmu). Nikt równie dobrze jak Tusk nie ucieleśniał europejskiego marzenia pokoleń późnego PRL, tych, którzy dorosłość osiągnęli w latach 70. i 80., tłukli się na saksach, entuzjastkowali Solidarnością, przechodzili traumę stanu wojennego, rzucali się w kapitalizm lat 90.

To zdecydowanie nie była historia Jarosława Kaczyńskiego, który przez całe dorosłe życie pozostawał właściwie tylko działaczem politycznym, nie szarpał się, żeby utrzymać rodzinę, zarobić, założyć biznes, zbudować dom, robić jakąś zawodową karierę, wykształcić dzieci. Kaczyński był jednym z nielicznych dawnych działaczy opozycji, który nie uległ fascynacji Zachodem, wolnym rynkiem, pogonią za dobrobytem. Jednocześnie nikt poza nim nie był tak skoncentrowany na czystej polityce, nie poświęcił jej bez reszty kilkudziesięciu lat, nie osiągnął takiego mistrzostwa w budowie i kierowaniu partią, w wywoływaniu i wygrywaniu konfliktów, organizowaniu społecznych emocji.

Tusk miał w sobie – drażniący Kaczyńskiego – luz, nonszalancję, wewnętrzny, lekko anarchizujący liberalizm, wieczne „krótkie spodenki”, ale też imponującą pewność siebie. Kaczyński w miarę upływu lat, a już zwłaszcza po śmierci brata, stawał się antytezą Tuska – uosobieniem krzywdy, odwetu, patosu ofiary, roszczeń, kompleksów rodzących arogancję. Ostatnie kilkanaście lat naszej polityki zostało zdominowane przez – coraz bardziej destrukcyjne – pośrednie i bezpośrednie starcie tych dwóch różnych osobowości, temperamentów, biografii, być może także dwóch stron polskiej natury i historii. Tusk teraz sam odchodzi. Kaczyński też powinien odejść. Jednak najpierw trzeba mu odebrać Dudę.

Jan Koza

TWORZENIE WSPÓLNEGO
KANDYDATA NA PREZYDENTA



Rząd małej zmiany

Przebudowa gospodarczej części rządu, wzmocnienie premiera, ciut większa rola koalicjantów i dużo kontynuacji – tak wygląda obóz władzy na początku drugiej kadencji. Na horyzoncie mającą kłopoty.

Gdy spojrzeć na całość nowo powołanego rządu, to na poziomie ministerialnym wielu zmian nie widać. Z 22 członków Rady Ministrów na nową kadencję zostaje aż 17, w większości na dotychczasowych stanowiskach. Nie odchodzi żaden z najcięższych politycznie graczy. Błaszczak zostaje w MON, Mariusz Kamiński nadal będzie ministrem spraw wewnętrznych i koordynatorem służb, Zbigniew Ziobro – ministrem sprawiedliwości, Jarosław Gowin utrzyma tekę wicepremiera i ministra nauki, wicepremierem będzie też minister kultury Piotr Gliński. Szefem Kancelarii Premiera pozostanie Michał Dworczyk.

Przed dymisją uchronili się minister infrastruktury Andrzej Adamczyk i szef MSZ Jacek Czaputowicz. Likwidacji swego resortu uniknął minister cyfryzacji Marek Zagórski. Zmiany ominęły Ministerstwa Rolnictwa, Gospodarki Morskiej, Zdrowia i Edukacji.

Z rządem na własną prośbę żegna się Bożena Borys-Szopa, która w Ministerstwie Rodziny zastąpi posłanka PiS z Kalisza i obecna szefowa PFRON Marlena Małąg. Odchodzi Jerzy Kwiecieński, który był szefem dwóch resortów – finansów oraz inwestycji i rozwoju. W tej pierwszej roli zastąpi go wiceminister Tadeusz Kościński. Znika z kolei – i tak przechodzimy do zmian instytucjonalnych – resort inwestycji i rozwoju. Część jego kompetencji przejmie resort zarządzania funduszami (dla obecnej wiceminister Małgorzaty Jarośnińskiej-Jedynak).

Budownictwo (w tym program Mieszkanie+) i planowanie przestrzenne weźmie Jadwiga Emilewicz, która dostanie też wydzieloną z Ministerstwa Sportu turystykę. Nowy resort Emilewicz otrzyma nazwę Ministerstwo Rozwoju.

Znika Ministerstwo Środowiska (w rządzie nie utrzymał się jego szef Henryk Kowalczyk). Wypączkują z niego dwa resorty – klimatu (wraz z programem Czyste Powietrze) dla wiceministra Michała Kurtyki oraz zasobów naturalnych (Lasy Państwowe, parki narodowe) dla najmłodszego w rządowej ekipie, 28-letniego Michała Wosia z partii Ziobry.

Czwartym nowym resortem będzie Ministerstwo Nadzoru Właścielskiego (trochę jak dawne Ministerstwo Skarbu), które obejmie wicepremier **Jacek Sasin**. To on będzie – przynajmniej formalnie – głównym kadrowym w większości spółek Skarbu Państwa. Przejmie m.in. nadzór nad spółkami energetycznymi, do tej pory zakotwiczonymi w likwidowanym Ministerstwie Energii Krzysztofa Tchórzewskiego (nie załapał się do nowego rządu).

– Będzie to raczej rola notariusza decyzji Nowogrodzkiej niż kreatora polityki personalnej. I nie spodziewam się trzęsienia ziemi w spółkach, poza sektorem energetycznym, gdzie dojdzie do rzezi ludzi Tchórzewskiego – słyszymy od polityka z otoczenia Kaczyńskiego.

Ostatnią istotną zmianą jest awans wiceministra spraw zagranicznych ds. europejskich Konrada Szymańskiego na ministra konstytucyjnego i ulokowanie go w Kancelarii Premiera. To rozwiązanie logiczne, bo Szymański już dziś więcej czasu spędza w Al. Ujazdowskich niż w gmachu MSZ.

Podsumujmy: trzy ministerstwa znikają, cztery powstają. Resortów będzie 20, najwięcej w historii III RP (Niemcy muszą się zadowolić marnymi 14 ministerstwami, Francja – 16). Na 23 członków Rady Ministrów są trzy kobiety. Te statystyki mogą jeszcze drgnąć – premier w piątek nie podał nazwiska ministra sportu, nie wspominał też, że ministrem konstytucyjnym będzie szef Centrum Analiz Strategicznych Waldemar Paruch (co było zapisane w programie PiS).

Te dwie sprawy zabawnie się zresztą zbiegły. Paruch, pytany w RMF o ministra sportu, zasugerował, że może chodzić o senatora opozycji, czym ściągnął na siebie gniew partii – jeśli takie negocjacje były prowadzone, to w dyskrecji. – *Chciał być europoseł, nie wyszło, chciał być wicepremierem, nie wyszło, chciał mieć jedynkę w wyborach do Sejmu, nie wyszło, teraz chce być ministrem, zobaczymy* – kpi rozmówca POLITYKI.

Jaki jest polityczny sens tych zmian? Dla ogółu wyborców – niewielki. Niektórzy komentatorzy oczekują złagodzenia polityki i zwrotu ku centrum, ale do tego trzeba więcej niż tylko powołania resortu klimatu. Ministrem nie został żaden z młodszych, popularnych w elektoracie posłów PiS – w karierze rządowej szkodzą im bowiem młodość i popularność. Ta rekonstrukcja jest bardziej do wewnątrz niż na zewnątrz. Doszło do korekty hierarchii w obozie władzy. Na górze pozostaje prezes, poniżej trochę się pozmieniało.

Wyraźnie urósł premier. Morawiecki wzięł pod siebie politykę unijną i – jak twierdzi nasz rozmówca – będzie „nadministrem finansów”. Kaczyński dał mu swobodę w kształtowaniu gospodarczej części rządu i premier z tego skorzystał, tworząc technokratyczną, podporządkowaną sobie ekipę. Zadowoleni z negocjacji – przynajmniej oficjalnie – są obaj koalicjanci. Na aucie wyładowali ludzie Beaty Szydło (z rządu wypadli Tchórzewski i Kowalczyk, został jedynie Adamczyk).

W nowym rządzie będą stare animozje, przede wszystkim między premierem a Ziobrą. Temperaturę tych relacji dobrze oddaje rozmowa jednego z ziobryistów z autorem tekstu.

Co słycać u drugiej strony? – pyta.

W Platformie?

Nie, u Morawieckiego.

Ziobryści już się domagają kontroli nad Narodowym Funduszem Ochrony Środowiska, który premier chce oddać Kurtyce.

Tak nastawieni do siebie ludzie mają zadanie znacznie trudniejsze niż w pierwszej kadencji. Świeżość już nie ta sama, nowych programów socjalnych raczej nie będzie, koniunktura się pogarsza. „Chcemy odeprzeć niebezpieczeństwa związane z możliwym poważniejszym spowolnieniem gospodarczym” – ostrzegł Kaczyński na piątkowym briefing.

Drugi rząd Morawieckiego wkrótce dostanie wotum zaufania. Ale proces tworzenia obozu władzy jeszcze potrwa. Wiele śrubek trzeba dokręcić – dopracować podział kompetencji między resortami, mianować wiceministrów i wojewodów, pozmieniać część prezesów spółek. PiS musi przy tym uniknąć skandali, bo każda wpadka może się zemścić w kampanii prezydenckiej. Naczelnym zadaniem rządu na początku kadencji jest przecież dotarcie w możliwie najlepszej formie do czerwca przyszłego roku.

WOJCIECH SZACKI



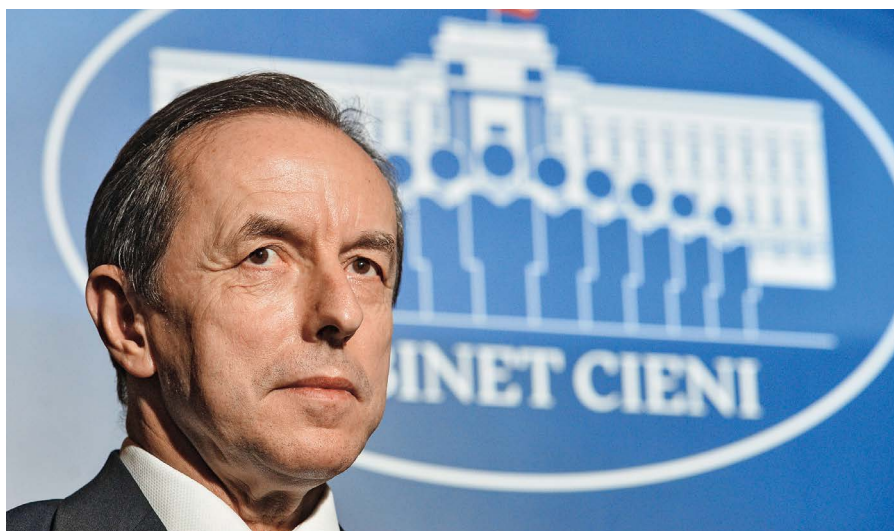
Marszałek Grodzki

Przypadek **Tomasza Grodzkiego** to dowód na to, że w polityce trzeba mieć trochę szczęścia. Jego największą zaletą jest to, że był do przyjęcia przez wszystkich koalicjantów, którzy mieli wielkie apetyty na funkcję marszałka Senatu – opowiadał nam polityk znający kulisy negocjacji. Jeszcze kilka dni przed ogłoszeniem kandydatury Grodzkiego na „senackiego lidera opozycji” w grze były nazwiska polityków, którzy w polskiej polityce ważą więcej niż senator PO ze Szczecina, który zadebiutował w izbie wyższej cztery lata temu.

– *Gdzie trzech się biło, tam Grodzki skorzystał* – ironizuje senator KO. Tych trzech to: Bogdan Borusewicz, doświadczony marszałek z imponującą kartą opozycyjną, koalicjanci uznali jednak, że w tym Senacie potrzeba kogoś bardziej energicznego; Sławomir Rybicki – też z wielkim doświadczeniem parlamentarnym, ale „za bardzo forsowany” przez ludzi prezydenta Komorowskiego; i Marek Borowski, człowiek instytucja, ale – jak można usłyszeć w PO – za bardzo niezależny od Grzegorza Schetyny. – *Bez wątplenia Tomaszowi pomogło też ogłoszenie, że PiS kusi go teką ministra zdrowia w zamian za przejście na tamtą stronę.*

Przy Nowogrodzkiej zarządzono nawet wewnętrzne śledztwo w tej sprawie, a Krzysztof Sobolewski, szef Komitetu Wykonawczego PiS, wezwał Grodzkiego, aby wyjawiał, kto z PiS złożył mu ofertę. Do dziś Grodzki tego nie zrobił.

Tomasz Grodzki (lat 60) jest absolwentem Akademii Medycznej w Szczecinie, od 2010 r. z tytułem profesorskim. Specjalizuje się w chirurgii klatki piersiowej, zajmuje się także transplantologią. Jeden z jego znajomych mówi, że polityka „bardzo go kręci”, trzy razy zostawał szczecińskim



radnym (od 2006 r.). W 2014 r. nie dostał się do Parlamentu Europejskiego, ale już w rok później w wyborach do Senatu zdobył prawie 70 tys. głosów, a w ostatnich podwoił wynik.

W poprzedniej kadencji Senatu Grodzki często zabierał głos, najczęściej na temat służby zdrowia. Był też aktywny w senackiej walce o praworządność. Odwoływał się do swojego chirurgicznego doświadczenia: „Jestem prostym chirurgiem, ale życie mnie nauczyło, że im bardziej niedbale przygotowana jest operacja, i to skomplikowana, tym większymi zwykle grozi konsekwencjami”.

Według danych Senatu (stan na lipiec) Grodzki na 195 dni posiedzeń opuścił 39, a na 79 dni z głosowaniami nie było go przez 36. Teraz nie będzie mógł pozwolić sobie na taką absencję i do tego jeszcze będzie musiał – z chirurgiczną precyzją – pilnować senackiej większości. – *I tu może mieć problem, bo jest typem solisty, nie ma swojej drużyny, która pomoże mu dyscyplinować senatorów. A do tego nie zbudował sobie jeszcze*

autorytetu wśród polityków, a przecież będzie musiał budować sojusze senacko-sejmowe – mówi senator z PO. Do pomocy (w chwili zamykania numeru głosowanie jeszcze się nie odbyło) będzie miał wicemarszałków Bogdana Borusewicza (KO), Gabrielę Morawską-Stanecką z Lewicy i jednego ludowca. Morawska-Stanecka (rocznik 1968) to wiceszefowa Wiosny, prawniczka, senatorka ze Śląska.

Tomasz Grodzki liczy też na współpracę ze Stanisławem Karczewskim, dotychczasowym marszałkiem Senatu z PiS. Być może koledzy po fachu – obaj są chirurgami – jakoś pozyskują polityczne podziały. Na początku 2018 r. na polecenie Jarosława Kaczyńskiego zmieniono regulamin Senatu tak, aby głosowania w sprawach personalnych, w tym wybór marszałka, były jawne. Stało się tak po tym, jak w tajnym głosowaniu senatorowie – w tym wielu z PiS – odrzucili wniosek prokuratury o areszt dla Stanisława Koguta.

ANNA DĄBROWSKA

Trybunał na straty

Pojawiły się głosy oburzenia, że nominacje Krystyny Pawłowicz i Stanisława Piotrowicza do Trybunału Konstytucyjnego to kpina i obniżenie rangi tej instytucji. Tylko czy Trybunał Julii Przyłębskiej ma jeszcze jakąś rangę? Trybunał praktycznie przestał już orzekać – dla porównania 188 orzeczeń w 2015 r. i 48 w 2019 r. Nie ma publicznych rozpraw, wyroki zapadają na posiedzeniach niejawnych, a te w sprawach ważnych dla partii rządzącej wyglądają jak przygotowane w gabinetach na Nowogrodzkiej. Do tego manipuluje się składami, co wiceprezes TK tłumaczy dbałością o sprawność orzekania.

Dzisiejszego Trybunału nikt nie traktuje poważnie. Obywatele przestali do niego kierować skargi konstytucyjne (w 2015 r. przyjęto ich do rozpatrzenia 49, w 2019 r. – 20), także pytań prawnych sądów jest nieporównywalnie mniej (w 2015 r. – 135, w 2019 r. raptem 20). I tylko władza ma z niego pożytek, kierując tam sprawy, które mają dostać stempel konstytucyjności. Jak w przypadku „ułaskawienia” przez prezydenta Mariusza Kamińskiego jeszcze

przed prawomocnym skazaniem czy rozprawienia Krajowej Rady Sądownictwa i powołania neoKRS. Takiemu TK nie mogą uwłaczać żadne kandydatury.

W tej kadencji Trybunał i tak nie wymknie się spod władzy PiS. W lipcu 2020 r. kończy się kadencja ostatniego sędziego niewybranego przez PiS. I nie ma nadziei, że nawet jeśli część sędziów będzie chciała orzekać niezawisłe, będzie to miało znaczący wpływ na orzecznictwo TK. Będą dostawać do sądu sprawy nieistotne dla władzy. A gdyby chcieli upubliczniać manipulacje czy inne skandale dotyczące się w TK, prezes Przyłębska postawi ich przed sądem dyscyplinarnym i ukarze.

W tej sytuacji nie ma większego znaczenia, kogo PiS wybierze do TK. Za to Sejm następnej kadencji będzie miał do obsadzenia w sumie dziewięć miejsc. Nowi sędziowie nie powinni być wybrani z klucza politycznego, bo rodzi to głęboką patologię. Konstytucja powierzyła wybór sędziów posłom, ale nie mówi, kto wskazuje kandydatów na kandydatów. Trzeba zatem zmienić ustawę o TK tak, aby nominowały ich środowiska prawnicze: naukowe i samorządowe. (E5)



Sprawdzian dla Gowina

Z punktu widzenia PiS sytuacja w i wokół Trybunału Konstytucyjnego jest wysoce politycznie niepokojąca. Stąd decyzja o oddelegowaniu tam osób mających w sobie gen służalczości wobec Nowogrodzkiej.

Po stronie opozycyjnej manewry związane z kandydatami na prezydenta lub kandydatami na kandydatów na prezydenta nieuniknione i zrozumiałe, a po stronie PiS trzask-prask i jest decyzja: kandydatami na sędziów Trybunału Konstytucyjnego zostali ogłoszeni: Elżbieta Chojna-Duch, Krystyna Pawłowicz i Stanisław Piotrowicz. Są to kandydaci dla PiS zasłużeni. Pani Chojna-Duch złożyła takie jak trzeba zeznania przed komisją śledczą ds. VAT; zasługi pozostałej dwójki są powszechnie znane i na wołowej skórze, by ich nie spisać. Nic więc dziwnego, że wyżej wymienieni „otrzymują – jak czytamy w Ewangelii wg św. Mateusza (6, 2-5) – swoją nagrodę”.

Panią Chojnę-Duch zostawmy na boku, ale zastanawia to, że wśród kandydatów znaleźli się pani Pawłowicz i pan Piotrowicz – figury odstręczające nie tylko obywateli nastawionych do PiS krytycznie, ale też sporą część selektywnych zwolenników PiS, którzy tę dwójkę traktują jako bardziej wątpliwą część pisowskiego pakietu, który per saldo uznają za opłaczalny. Mniej znanych i mniej kłujących w oczy, a nie mniej zasłużonych można by znaleźć.

Strona PiS-owi niechętna, komentując tę decyzję, ujawniła intelektualną bezradność. Wybitny prawnik prof. Zoll stwierdził jedynie: „Mimo całej dozy krytyki wobec poprzednio wskazywanych przez PiS kandydatów, którzy ostatecznie zasiedli w Trybunale to oni jednak takich zasług dla partii nie mieli, jak ci właśnie przedstawieni kandydaci. To jest masakra po prostu”. Z całym szacunkiem dla byłego prezesa Trybunału Konstytucyjnego, „masakra” to nie jest pojęcie polityczne i nic nie tłumaczy. Inny wybijający się prawnik średniego pokolenia prof. Matczak odwołał się do psychologii społecznej polityki: „Powodem nominacji 2xP do TK jest sadyzm polityczny (przyjemność ze słuchania »wycia«, co z taką lubością podkreśla prawa strona) albo traktowanie państwa jak swojego folwarku (obiecałem swoim, więc dam). Politycznie i prawnie PiS zyskałby to samo, mianując trzech anonimowych prawników”.

Każda pliszka swój ogonek chwali, więc przypomnę, że pojęcie „sadyzmu politycznego” do wyjaśniania działań PiS wprowadziłem ja (za klasykiem socjologii Robertem K. Mertonem). Niemniej uważam, że w tym przypadku nie należy się do niego odwoływać, bo chodzi o czystą polityczną racjonalność celowo instrumentalną. Z punktu widzenia Nowogrodzkiej sytuacja w i wokół Trybunału Konstytucyjnego jest wysoce politycznie niepokojąca i żadnymi „trzema anonimowymi prawnikami” się jej nie zaradzi. A w grę wchodzi już występujący czynnik endogeny i potencjalny czynnik egzogeny.

Czynnik endogeny polega na buncie wobec prezeski magisterki Julii Przyłębskiej nominatów pisowskich. Sędzia Pyszczółkowski zbuntował się już dawno, ale całkiem niedawno do rebelii przyłączył się pisowski dubler sędziego Wyrembak, wzywając panią magisterkę prezeskę (to ukłon wobec feministek) do dymisji. Jeśli do tego dodać pogłoski o konflikcie między pisowskim sędzią Muszyńskim a panią Przyłębską, która nie ogarnia, co każdy widzi, to pisowski w założeniu Trybunał staje się pisowski mniej (miarą pisowatości jest wykonywanie dyspozycji Nowogrodzkiej). Po prostu sędziowie TK po wyborze są „zaparkowani na całe życie” i Nowogrodzka może im nagwiźdać.

W takiej sytuacji kluczową rolę w zamkniętym środowisku zaczynają odgrywać ambicje i animozje. A kiedy one się rozchylają, to nikt nie wie, co z tego wyniknie. Do tego dochodzi potencjalny czynnik egzogeny – wygrana w wyborach prezydenckich kandydata opozycji. W takiej sytuacji to TK przypadnie rola pisowskich „okopów św. trójcy” – a w takich okopach nie może wybuchnąć, niczym w Grenadzie, zaraza. Dlatego należy wprowadzić do Trybunału osoby, które mają w sobie gen służalczości wobec Nowogrodzkiej – czy to z racji osobliwej konstrukcji psychicznej (Krystyna Pawłowicz), czy z racji długoletniego, sięgającego czasów PRL treningu (Stanisław Piotrowicz). Podejmując takie decyzje personalne, prezes PiS wykazał dużą polityczną klasę.

Ogłosić decyzję to jedno, a przeprowadzić ją to drugie. Dwie formacje w nowym Sejmie będą musiały podjąć egzystencjalne decyzje: gowinowcy i konfederaci. W kończącej się kadencji Jarosław Gowin głosował, ale nie klaskał, nastawiał się na wyborców spoza pisowskiego hardcoru, dając do zrozumienia, że twardzi pisowcy mają na łbach kaniółki, na grzbietach kufajki, a na nogach gumofilce, on zaś, cywilizowana prawica – peruczkę, fraczek i lakiery. Tak można było robić, gdy chodziło o abstrakcje – ustroj TK czy Sądu Najwyższego. Ale „2xP” to wonejczy personalny konkret – smrodzik z ich poparcia będzie się długo włócił za dystygowanym wicepremierem, zmniejszając szansę na wybicie się na niepodległość w przyszłości, gdy prezes PiS ulegnie politycznej dezaktywacji, a sama partia zacznie się rozłazić. Oczywiście otwartego buntu gowinowców nie będzie, ale nie wykluczalbym, że przypadłość rwy kulzowej czy grypy żołądkowej dotknie w dniu głosowania paru posłów z tej grupy, z Jarosławem Gowinem na czele. Móc powiedzieć za cztery, pięć lat – nie tylko nie klaskałem, ale i nie głosowałem na Piotrowicza i Pawłowicz – to nie miały polityczny atut.

W ostatniej kadencji PiS dysponował w najistotniejszych głosowaniach dodatkowym zasobem – klubem Kukiz'15, którego posłowie albo wstrzymywali się od głosu, albo nie głosowali (tak było w przypadku ustaw o Sądzie Najwyższym i neoKRS). W nowym Sejmie tego klubu już nie ma, ale są konfederaci, w którym znaleźli się „narodowi” posłowie dawnego Kukiz'15. Otóż to 11-osobowe koło staje przed nie lada dylematem. Z jednej strony Krystyna Pawłowicz, określająca flagę UE jako „unijną szmatę”, to ich poglądy i ich retoryka. Ale i Stanisław Piotrowicz jako prokurator stanu wojennego i tępy pisowski bagnet niszczący niezawisłe sądy i trybunały też nie powinien w nich budzić odrazy – w końcu nurt „narodowy” w PRL i III RP nienawidził opozycji demokratycznej jako żydomasońskiego spisku na zgubę polskiej „substancji narodowej”, a z demokracją liberalną walczy pryncypialnie. Z drugiej strony konfederaci muszą pamiętać o smętnym losie Samoobrony i LPR, które jako pisowskie przystawki zostały przez danie główne skonsumowane. A pisowska rezerwa, czyli Kukiz'15, rozplynęła się w politycznej nocy i mgle.

Jakkolwiek będzie w dniu głosowania, ok. 20 posłów stanie przed sprawdzianem: *hic Rhodus, hic salta*. A wiadomo: na Nowy Rok barani skok.

Nauczyciel ze Złejwsi

Pedagog zachęcał do kupna „Gazety Polskiej” ze słynnymi naklejkami „Strefa wolna od LGBT”.

Szkołą Podstawową im. Kornela Makuszyńskiego w Złejwsi Wielkiej zainteresowały się media dzięki jej nauczycielowi **Krystianowi Frelichowskiemu**. Pedagog, chwalcący się w mediach społecznościowych zdjęciami z kolonii i wyjazdów z dziećmi, zachęcał do kupna „Gazety Polskiej” ze słynnymi naklejkami „Strefa wolna od LGBT” (bojkotował też Empik, który wycfał pismo ze swojej oferty). W publicznych wpisach na Facebooku nazwał osoby LGBT „dewiantami” i „ideologią”, stwierdził, że „to nie są ludzie”. „Dlaczego LGBT to takie zło?” – pytał go jeden z internautów. „Dlatego, że jego działacze narzucają swoje dewiacje innym” – odpowiadał.

Czy pedagog ze Złejwsi Wielkiej oddziela swoją publiczną działalność w mediach społecznościowych od pracy w szkole? W obawie, że może to Frelichowskiemu sprawiać trudność, zareagowali wójt gminy



© TYTUS ZMIENSKI/PAP

oraz dyrektor szkoły. Ten pierwszy martwi się, „jaki wpływ na światopogląd młodych ludzi może mieć pan Frelichowski jako nauczyciel”. Z kolei dyrektor oświadczył, że „nie utożsamia się z wypowiedziami Frelichowskiego”, prowadzona przez niego szkoła „wychowuje uczniów na ludzi tolerancyjnych”, a głoszenie

homofobicznych poglądów będzie skutkowało „zakończeniem pracy z dziećmi”.

Krystian Frelichowski jest nie tylko nauczycielem, ale i bydgoskim radnym, członkiem PiS od 2001 r. W jego obronie stanęli właśnie przedstawiciele Ordo Iuris. Reprezentujący fundację Jerzy Kwaśniewski złożył pozew o naruszenie dóbr osobistych i domaga się przeprosin od dyrektora szkoły: „Szantaż zmierzający do udaremnienia mu głoszenia poglądów uderza w (...) wolność słowa. Stanowi również przejaw dyskryminacji ze względu na światopogląd. Tego typu praktyki mają na celu całkowite wyeliminowanie z debaty publicznej wypowiedzi sprzeciwiających się ideologii LGBT”.

Na podobnej podstawie (dyskryminacji światopoglądowej) Ordo Iuris powołała w imieniu Tomasza Terlikowskiego Warszawski Uniwersytet Medyczny. Pod tym kątem fundacja prześwietla też pozarządowe organizacje prokobiece, a ostatnio pozwała Google za określenie programów prowadzonych przez Pawła Lisickiego i Marka Miśko w wSense. tv jako szerzących „mowę nienawiści”. Jak mówi stare przysłowie: „Złodziej najgłośniej krzyczy: łapać złodzieja!” (AgSz)

Napad patriotyzmu

Sąd zdecydował: atak na procesję w Przemyślu był przestępstwem.

Po trzech z górą latach od bulwersującego ataku na procesję zorganizowaną przez Kościół grekokatolicki w Święto Ukraińskiej Pamięci Narodowej – upamiętniającej żołnierzy Petlury – sprawa została zamknięta prawomocnym wyrokiem skazującym Sądu Okręgowego w Przemyślu.

Przypomnijmy:

26 czerwca 2016 r. **na podążającą w kierunku przemyskiego cmentarza procesję natarła grupa nacjonalistów**. Było wiele

agresji, wykrzykiwano obraźliwe hasła, naruszono nietykalność cielesną uczestników pochodu. A wszystko pod hasłem rzekomej walki z ideologią „banderyzmu”. Władze usiłowały zlekceważyć zdarzenie, jednak 20 osób zostało postawionych w stan oskarżenia. Sąd I instancji uznał ich winnymi naruszenia prawa, skazując na ograniczenie wolności, nieodpłatne prace społeczne od 6 do 14 miesięcy. Zobowiązał też do zapłacenia 500 zł nawiązki oraz opłacenia pełnomocnika (4,6 tys. zł) zaatakowanego członka procesji. Za adwokata oskarżonych



© LUKASZ SOLESKI/EAST NEWS

miał zapłacić Skarb Państwa. Oskarżeni odwołali się od wyroku, twierdząc, że są niewinni; oskarżający przyjęli wyrok jako zbyt łagodny.

Sąd Okręgowy niewinności napastników się nie dopatrzył. Uznając, że wina nie budzi wątpliwości, bo celem oskarżonych było wszczęcie rozrób i przeszkodzenie w procesji religijnej. Karę podwyższył.

Procesje są w Przemyślu organizowane od wielu lat i stały się już tamtejszą tradycją. Oskarżenia o „banderyzm środowiska ukraińskiego” są absurdalne. Zachowanie skazanych to pokaz pseudopatriotyzmu

– połowa z nich była wcześniej karana za rozboje, kradzieże, pobicia, dystrybucję narkotyków. „To jest właśnie ta forma »patriotyzmu« prezentowana przez grupę oskarżonych – zauważył sędzia. I pouczył, że: „Wypadałoby zająć się własnym życiem i innymi sprawami niż czynienie burd na terenie miasta”. Aby kara była bardziej dotkliwa, wyrok ma być publikowany przez pół roku na stronach internetowych policji w Przemyślu – żeby społeczności miasta mogła się z nim zapoznać w całości. Oskarżeni mają też opłacić koszty adwokackie, gdyż sąd nie znalazł powodu obciążania nimi Skarbu Państwa.

(JAG)



Co najmniej na 72 godziny przed lotem w internetowym systemie ESTA wypowiedzieć się trzeba m.in. z miejsca zatrudnienia, stanu zdrowia psychicznego i przeszłości kryminalnej. ESTA zapyta także o nazwy użytkowników w mediach społecznościowych. Tutaj na razie odpowiedź jest dowolna, ale departament bezpieczeństwa wewnętrznego proponuje, by przyjezdni musieli podawać, jakich profili używali w ciągu ostatnich 5 lat w 19 serwisach, w tym na Facebooku, Twitterze i ich chińskich odpowiednikach.

Przedstawiciele branży turystycznej sądzą, że to nadmierna ciekawość. Nie tyle pomoże w walce z terroryzmem, co dodatkowo zmniejszy zapał turystów, już ograniczony wojną handlową z Chinami oraz drogim dolarem. Pozytywna decyzja ESTY ważna jest przez dwa lata i uprawnia do wielu wjazdów. Samo podejście do wypełnienia wniosku kosztuje 14 dol., choć są plany podwyżki do 21 dol. Z każdej opłaty 10 dol. (do uzbrojenia kwoty 100 mln) wędruje do Brand USA, organizacji namawiającej cudzoziemców do odwiedzenia Stanów Zjednoczonych. Ale to, czy granicę się uda przekroczyć, zależy od decyzji funkcjonariusza urzędu celnego i ochrony granic, który już z lotniska może odesłać każdego, kto wzbudzi jego podejrzenia. Bo ani bilet powrotny w garści, ani obywatelstwo kraju objętego ruchem bezwizowym, ani nawet wiza w paszporcie żadnej gwarancji wjazdu nie dają.

Koszty braku wiz

Amerykańska branża turystyczna narzeka, że Stanów Zjednoczonych nie wybierają turyści, którzy są gotowi lecieć po relaks przez co najmniej siedem godzin w jedną stronę. Długodystansowych urlopowiczów sprawnej przyciągają m.in. Meksyk i Indie. Spadający amerykański udział w globalnym rynku takich podróży – z 13,7 proc. w 2015 r. do przewidywanych 10,9 proc. w 2022 r. – ma przełożyć się w najbliższych latach na utratę 266 tys. etatów i 180 mld dol., niewydatych przez

41 mln przyjezdnych zwabionych przez inne kierunki. To dlatego branża intensywnie naciska na rząd federalny, by rozszerzył system ruchu bezwizowego. Od dawna dyżurną pierwszą trójką, na którą Ameryka miała się bardziej otworzyć, była Brazylia, Izrael i Polska.

Obywatele Rzeczypospolitej, którzy chcą przez górę 90 dni zwiedzać USA lub wybierają się tam w celach służbowych, od 11 listopada wiz nie potrzebują. Ich zniesienie nie oznacza jednak takiej swobody, z jakiej korzystamy w strefie Schengen. Ameryka nadal chce dużo o nas wiedzieć.

Iran małych kroków

Irańczycy wznowili wzbogacanie uranu w Fordo, słynnym ośrodku badawczym. To kolejne, choć najpoważniejsze jak dotąd złamanie umowy nuklearnej, którą w 2015 r. Iran podpisał z sześcioma mocarstwami. Prezydent Hasan Rohani uspokaja, twierdząc, że wszystkie decyzje nuklearne są jeszcze do odwrócenia. Wystarczy, że pozostałe strony umowy znów będą jej przestrzegać. A z tym właśnie jest problem. Iran zaczął łamać limity w maju, dokładnie rok po tym, jak z umowy wycofała się Ameryka. Donald Trump twierdzi, że warunki porozumienia z Iranem są dla Zachodu niekorzystne. I że sam wynegocjuje lepszą umowę, która będzie dotyczyć nie tylko atomu, ale też ograniczenia irańskiego programu rakietowego oraz wpływów w regionie. A stanie się tak, gdy Iran odczuje skutki amerykańskich sankcji. Strategia przyciskania Teheranu do muru na razie okazała się jednak kontraprodukcyjna.

Według umowy nuklearnej żadna z 1044 irańskich wirówek, czyli urządzeń do „obróbki” molekularnej atomów, nie może być wykorzystywana w procesie wzbogacania uranu. Ale dziś do tego właśnie służy 696 z nich, co oficjalnie przyznają Irańczycy. W sobotę rzecznik Irańskiej Organizacji Energii Atomowej twierdził, że jego kraj byłby już w stanie wzbogacić uran do 60 proc. To dużo więcej, niż potrzeba przy zastosowaniu cywilnym, ale wciąż zbyt mało, by zbudować bombę. Dodatkowo umowa nuklearna wyraźnie zakazuje wzbogacania uranu w Fordo, ośrodku ukrywanym przez Teheran aż do 2009 r. Jego wykute głęboko w skałę hale są nieosiągalne dla broni konwencjonalnej. Większość ekspertów uważa, że Iran wybrał drogę małych kroków – irańskie naruszenia umowy nuklearnej są nieznaczne, trudno więc wokół nich zbudować międzynarodową reakcję, ale na tyle liczne, że niedługo na jakąkolwiek reakcję może być za późno.

Rumunia też ma Orbána

Tak się złożyło, że Węgry i Rumunia mają teraz premierów o tym samym nazwisku – Viktora i Ludovica Orbánów, i obaj mają ojców Węgrów. Na tym kończą się podobieństwa, przynajmniej jeśli chodzi o barwy polityczne: 56-letni nowy premier Rumunii **Ludovic Orbán** jest prounijnym konserwatywnym liberałem. Po upadku socjaldemokratycznego rządu Vioricia Dăncilii – do czego aktywnie się przyczynił (a siłą sprawczą był nieoczekiwany sojusz sześciu partii opozycyjnych) – utworzył rząd mniejszościowy. Liberalowie mają poparcie prezydenta Klausa Iohannisa, który jest też faworytem w niedzielnych wyborach prezydenckich (do zamknięcia numeru nie zaliśmy wyników) i będą szukali każdorazowo wsparcia opozycji. W zamyśle mają przetrwać do przyszłorocznych wyborów parlamentarnych, choć nie będzie łatwo, a to już czwarty rząd w tej kadencji. A mają także ambicję poprawić napięte stosunki z Brukselą (korupcja, zmiany w sądownictwie). Ludovicowi może w tym pomóc brat Leonard Orbán, pierwszy rumuński unijny komisarz (do spraw wielojęzyczności).

Na razie z ulgą odetchnęła nowa szefowa Komisji Ursula von der Leyen, której europarlament nie zaakceptował trzech komisarzy, w tym rumuńskiej kandydatki. Teraz z brukselską nestorką Adiną-Ioaną Valean, wybraną z dwójki kandydatów zaproponowanych przez nowego premiera, ma już pójść gładko.





Malediwy w szponach mocarstw

Ten archipelag 1200 wyspek tradycyjnie był uważany za indyjską strefę wpływów, w końcu leży na Oceanie Indyjskim. To Indie uratowały (w 1988 r.) dyktatora Maumoon Abdulla Gayooma przed zamachem stanu; i to Indie obdarzył osobistą przyjaźnią Mohamed Nasheed, który doszedł do władzy (w 2008 r.) po obaleniu dyktatury. Ambasada Indii uchroniła go przed aresztowaniem (w 2012 r.), kiedy oskarżono go o dyktatorskie zapędy. Wtedy do władzy doszedł Abdulla Yameen, przyrodni brat dyktatora, i powiedział Indiom: stop! Zerwał kontrakt na rozbudowę lotniska oraz wiele innych i usunął indyjski kontyngent wojskowy, zajmujący się ratownictwem morskim i walką z piratami. Puste miejsce natychmiast zajęły Chiny, Malediwy znalazły się na nowym jedwabnym szlaku, a najbardziej spektakularnym dowodem stał się imponujący, pierwszy w dziejach archipelagu, **most im. Przyjaźni Chińsko-Malediwijskiej**. Łączy stolicę Male z Hulhumale, jej szybko rosnącymi suburbiemi, również za sprawą chińską, na sztucznie usypanych terenach. Chińczycy otrzymali koncesję na rozbudowę turystyczną 17 wysp. A oficjalną przyjaźń przypieczętowała wizyta samego prezydenta Xi.

Ale i Yameenowi szybko powinęła się noga. Nowym prezydentem (w 2018 r.) został Ibrahim Mohamed Solih, kolega z dzieciństwa Nasheeda, który stanął teraz na czele parlamentu. Zaczęło się wybrzydzenie na Chińczyków: że betonowe odpady wrzucają do morza, że polują na rekiny oraz że pokątnie sprzedają malediwijski piasek. No i zadłużyli już u siebie gospodarzy na 3,4 mld dol. (przy 5,3 mld dol. PKB), a Indie chciały zbudować rzeczony most dużo taniej. Oficjalny powrót Indii na te tereny potwierdziła wizyta samego premiera Modiego. Ale raz implantowanych Chińczyków trudno zniechęcić, tym bardziej że już co piąty turysta, zostawiający tu kasę, przybywa z Chin (a z Indii tylko 6 proc.).

Tę rosnącą chińsko-indyjską rywalizację może pogodzić matka natura. Jeśli sprawdzą się czarne przewidywania, z powodu wzrostu poziomu wody w oceanach Malediwów z roku na rok będzie coraz mniej, aż wreszcie znikną zupełnie. Co oznacza, że byłyby to utopione pieniądze.

Ups! Ktoś został w samochodzie

Od 7 listopada wszedł w życie we Włoszech obowiązek instalowania alarmów, które dźwiękiem, światłem i wibracją sygnalizowałyby, że w opuszczonym przez kierowcę samochodzie pozostało zapięte w foteliku dziecko. Takie urządzenia powinny, pod karą mandatu (od 81 do 326 euro) i utraty 5 punktów, znajdować się we wszystkich samochodach, które przewożą dzieci do lat 4. Ta nowa legislacja to skutek kilkunastu przypadków lekkomyślnego pozostawiania śpiących dzieci w samochodzie, z czego dwa zakończyły się tragicznie. Ministerstwo będzie wspierać każdy taki zakup kwotą 30 euro; na rynku jest już szereg urządzeń na każdą kieszeń. Najbardziej wymyślne dodatkowo dzwonią i wysyłają esemesy do roztargnionych, przypominając, że zostawili w aucie coś bardzo cennego.

KOMENTARZE

Macron i czerwone linie

Marek Ostrowski



NATO jest w stanie śmierci mózgowej – powiedział prezydent Francji Emmanuel Macron, a na pytanie, czy sojusznicy przyjdą zagrożonemu państwu z pomocą na podstawie słynnego art. 5, odparł: „Nie wiem”. Może chciał poruszyć zastalą wodę, ale wyszło źle, bo w gruncie rzeczy Macron zachował się jak Trump, który publicznie wątpił, czy należałoby na przykład bronić Czarnogóry. A NATO nie jest w gorszej kondycji niż powiedzmy trzy lata temu; odwrotnie – opracowało tzw. plany ewentualnościowe, wzmocniło wschodnią flankę, zwiększyło wydatki na obronność.

Niesmak po tym oświadczeniu nie może przesłonić dwu ważniejszych kwestii, które Macron podnosi. Apeluje o zbliżenie z Rosją i zapowiada, że będzie taką politykę prowadził. Dlaczego miałyby mu się to lepiej udać niż Obamie? A bo – tłumaczy – to dalekosiężny plan na 10 i więcej lat. Czyli, domyślmy się, na Rosję po Putinie. Tu trudno odmówić mu racji. Jeśli dojdzie do starcia Zachodu z Chinami, to lepiej mieć Rosję po naszej stronie, o czym pisał już Zbigniew Brzeziński w „Wielkiej szachownicy”.

A w czym to otwarcie miałyby się wyrażać dziś? Współpracą w wywiadach w zwalczaniu terroryzmu, współpracą w cyberprzeprzeźrzeni... Bacność, uwaga! Choć kilkakrotnie Macron zapewnia, że nie będzie naiwny, trzeba przypomnieć, że trudno mieć zaufanie do państwa, które chwali się militaryzacją i nie cofa przed brutalnymi kłamstwami, jak w sprawie zielonych ludzików na Ukrainie, zestrzelenia samolotu czy trucia agentów. Rosja toczy już cyberminiwojnę przeciw Zachodowi i rosyjskim trollom dużo łatwiej bałamucić dużą część opinii w krajach zachodnich, niż nam wpływać na poglądy Rosjan.

Inicjatywy Macrona stawiają Polskę w trudnej sytuacji: znajdzie on na pewno sojuszników – w osobie nie tylko Orbána (który ma bardzo dobre stosunki z Putinem), ale i polityków we Włoszech, w Austrii, Grecji, Czechach, pewnie też w Hiszpanii, Portugalii. Otwarcie na Rosję bardziej obchodzi Polskę niż wszystkie te kraje i samą Francję. Owszem, trzeba mieć koncepcję wiązania Rosji z Zachodem, ale Macron powinien publicznie nakreślić czerwone linie, z czego nie wolno ustąpić i z czego nie ustąpi.

Wreszcie główna i najobszerniejsza część omawianego tu wywiadu Macrona dla tygodnika „The Economist” to płomienny apel o ratowanie pozycji słabnącej Europy. Dziś wszystkie potęgi – USA, Chiny i Rosja – grają na zepchnięcie Starego Kontynentu z boiska. Macron mówi, że Europa musi zwiększyć swoją suwerenność, przypomina, że poziom inwestowania w przyszłość, np. sztuczną inteligencję, jest żalony w porównaniu z wysiłkiem USA czy Chin. Zwraca uwagę, że zasób oszczędności w Europie jest ogromny, tymczasem spoczywa głównie w amerykańskich obligacjach skarbowych, czyli raczej wspiera przyszłość Ameryki niż własny rozwój, i tak dalej. Nawet potencjalne zdolności wojskowe Unii to nie miraż, bo kraje UE łącznie wydają na obronę jakieś 250 mld euro. Co z tego, jeśli wszystkie te wydatki są rozproszone albo dublowane. Apel ten to przeciwieństwo sąściankowej polityki PiS z prezydentem gaworzącym o Europie jako „wymagowanej wspólnoty”. Ale na ile skuteczny? Pewnie nie bardziej niż wszystkie poprzednie.

Na jedną kartę

Po rezygnacji Donalda Tuska z prezydenckiego wyścigu na dobre ruszyła giełda kandydatów.



MARIUSZ JANICKI

Decyzja Tuska obniżyła morale antyPiSu, zeszło sporo powietrza. Podobnie jak wybory europejskie ostudziły optymizm po wyborach samorządowych. Została duża wyrwa po Tusku, która teraz będzie mozolnie zapełniana. Krążą pogłoski o starcie katolickiego publicyście i telewizyjnego prezentera Szymona Hołowni, mającego być zapewne skrzyżowaniem Kukiza i Zełńskiego. Być może zgłoszą się lub zostaną zgłoszeni inni, jak np. Adam Bodnar, rzecznik praw obywatelskich, którego ostatnio na prezydenta zarekomendowała „Gazeta Wyborcza”. Nie jest jasne, czy jako dodatkowego

konkurenta (i na kontrze) wobec kandydata Koalicji Obywatelskiej, czy też jako propozycję dla lewicy w miejsce dotychczas przewidywanych pretendentów tej formacji.

Wielość kandydatów opozycji walczących o podobny miejski elektorat może spowodować obniżenie progu dostępu do drugiej tury. Przy dużym rozdrobieniu poparcia do finału mógłby przejść kandydat nawet z kilkunastoprocentowym wynikiem. Oznaczałoby to jednak, że w drugiej turze – aby mieć szansę na zwycięstwo – musiałby on pozyskać ponad 30 proc. dodatkowych wyborców, a Dudzie zapewne wystarczy tylko kilka dodatkowych punktów. Jeśli nie załatwi wszystkiego w pierwszej turze. Cała opozycja ma w istocie jeden strzał.

Pewnym kandydatem wydaje się szef ludowców Władysław Kosiniak-Kamysz, którego szansę na drugą turę, przy wspomnianej wielości kandydatów, rosną. Z lewicy będzie to zapewne Robert Biedroń lub Adrian Zandberg, jeśli nie Bodnar. Z Konfederacji zdecyduje się być może Krzysztof Bosak, najbardziej reprezentacyjna twarz tej koalicji.

Platforma natomiast postanowiła zrobić „quasi-prawybory”, jak nazwał to jeden z członków zarządu tej partii. Najpierw, do 19 listopada, mają się zgłosić kandydaci (muszą mieć podpisy 30 członków 300-osobowej Rady Krajowej PO), potem będą prowadzić wewnątrzpartyjną kampanię, dokonywać „prezentacji” i być może uczestniczyć w debatach. Następnie, 14 grudnia, konwencji krajowa partii ma w tajnym głosowaniu wyłonić pretendenta. Oznacza to, że ok. 1200 członków konwencji ma wskazać polityka, który musi potem zdobyć poparcie ok. 9 mln wyborców. Nie ma żadnej gwarancji, że ten, kto się podoba ludziom Platformy, uwiedzie miliony. Poza tym może dojść do wewnętrznych rozgrywek, walk, z których zwycięsko wyjdzie po prostu najsilniejsza frakcja ze swoim kandydatem. Chyba że prawybory mają być po prostu formalną podkładką dla określonego kandydata, np. Małgorzaty Kidawę-Błońskiej, która już się zgłosiła, jednak jak stwierdziła: „chciałaby mieć kontrkandydata”. Może wystartuje Radosław Sikorski, przeciwnik Bronisława Komorowskiego z prawyborów w 2010 r.? Wspomina się też o Bartoszu Arłukowiczu.

Ale ta specyficzna amerykańzacja procesu wyłaniania kandydata zdaje się nie uwzględniać polskich realiów, gdzie ugrupowania są mniej liczebne, struktura kraju inna i jednak nie ma historycznie ukształtowanego systemu dwupartyjnego. Nie wróży to najlepiej, bo oznacza też, że poszukiwania obiektywnie najlepszego, zbadanego i „wyliczonego” kandydata zostały de facto zakończone. Platforma zadziała „regulaminowo”, może argumentować, że takie są zasady demokracji, ale kiedy Grzegorz Schetyna nominował Kidawę-Błońską na kandydatkę na premiera, żadnych prawyborów w partii nie było. Po prostu wybrano optymalne w danym momencie nazwisko. Ponadto prawybory mogą osłabić Kidawę-Błońską, gdyby wygrała nie dość zdecydowanie, bo okaże się, że w partii jest wielu przeciwników jej kandydatury.

Trudny, słaby przeciwnik

Mimo tych ryzykownych posunięć Platformy i możliwego rozdrobienia po stronie opozycyjnej wybory prezydenckie wciąż nie są rozstrzygnięte. Jednak dla opozycji wyzwaniem staje się samo doprowadzenie do drugiej tury, która w tej

sytuacji nie jest pewna. Zwłaszcza po przeciętnych opozycyjnych kampaniach (a nic nie zapowiada, że te prezydenckie będą wystrzałowe) wyniki pierwszej tury mogą odzwierciedlać mniej więcej poparcie dla partii wystawiających kandydatów. A to w połączeniu z premią dla urzędującego prezydenta może oznaczać ponad 50 proc. dla Andrzeja Dudy. Obecne sondaże pokazują taki właśnie mniej więcej obraz: ostatnie badanie IBRiS daje Dudzie w pierwszej turze ponad 48 proc. poparcia.

Duda pozostaje bardzo trudnym przeciwnikiem dla opozycji. Zapisał korzenie na prowincji, postawił na powiaty, lokalność, swojskość. Wytworzył własny, choć osobliwy model prezydentury – jako cichą działalność na uboczu, budowanie niemal prywatnych związków z elektoratem. Mało kto to centralnie odnotowuje, jednak Duda wciąż zaszczyca teren swoją osobą, przecina wstęgi, inauguruje, kosztuje potraw, ściska ręce i robi sobie selfie z sympatykami.

Ale źródła siły prezydenta Dudy pokazują zarazem istotę jego słabości. Ruszył w teren także dlatego, że został w istocie odsunięty od istotnych spraw państwa. Był głównie notariuszem władzy, co dołącznie zarządził kiedyś Komorowskiemu. Jest postrzegany jako polityk niesamodzielny i sterowalny – to może być głównym wątkiem kampanii dla jego przeciwników. Andrzej Duda ma wyraźnie niższe wskaźniki – zarówno poparcia, jak i zaufania – niż miał w tej samej wyborczej fazie, w 2014 r., urzędujący wówczas Bronisław Komorowski. A brani dzisiaj pod uwagę pretendenci startują z wyższego pułapu w sondażach niż wówczas pretendent Duda. Ponadto obecny prezydent to już nie jest czysta, mało znana karta.

Wtedy mógł obciążać Komorowskiego za rządy Platformy. Teraz sam będzie rozliczany za cztery lata porządków PiS, także swojego urzędowania. A specjalnych osiągnięć prezydent nie ma.

Duda nie dostawał zgody na swoje projekty, jego obietnice z 2015 r. bywały ignorowane (jak w sprawie frankowiczów), a największe upokorzenie spotkało go w sprawie referendum konstytucyjnego. W nadchodzącej kampanii nie może się też spodziewać wielkich obietnic ze strony rządu Morawieckiego. Wszystko poszło na wybory parlamentarne, teraz widać raczej powolny odwrót i specyficzną zemstę na elektoracie za zbyt małe poparcie – plany są „urealnianie”. Stare tematy zaś, jak rodzina, walka z LGBT, obrona Kościoła i tzw. tożsamości, mocno już się zużyły w ciężkiej walce, choć na pewno będą kontynuowane. Nie widać na razie nowej agendy, poza obroną „dobrej zmiany” przed zakusami tych, którzy chcą odebrać 500 plus. Oczywiście PiS coś podrzuci, na pewno trwają prace nad wymyśleniem nowych „atrakcyjnych osi sporu”, jak to nazywają prawnicy publicyści, ale efekt świeżości minął. Szykują się mniej lub bardziej atrakcyjne powtórki.

Duda-plus czy anty-Duda?

Druga tura prezydencka, jeśli do niej dochodzi, bywa kompletnie nieobliczalna, dlatego niepewność przy Nowogrodzkiej jest zrozumiała. Zwłaszcza że bój o prezydenturę mocno różni się od innych kampanii. W 2005 i 2015 r. kilkunastopunktowe procentowo przesunięcia dokonywały się w ciągu 3–4 tygodni, zwłaszcza w drugiej turze, kiedy strata jednego kandydata to automatyczny zysk drugiego. Widać ►

Źródła siły
prezydenta Dudy
pokazują zarazem istotę
jego słabości. Ruszył
w teren dlatego, że został
odsunięty od istotnych
spraw państwa.
Był głównie
notariuszem władzy.



► to było także, co prawda w mniejszej skali, w ostatnich wyborach na prezydenta Warszawy – wtedy niemal wszystkie, nawet te tuż przedwyborcze, sondaże okazały się bezwartościowe. Wyborcy wyraźnie dają sobie więcej swobody w przypadku decyzji, kto ma zostać prezydentem. Elektorat Pawła Kukiza z pierwszej tury w 2015 r., zbuntowany, antypartyjny i antysystemowy, w drugiej gremialnie poparł Dudę, przedstawiciela PiS, czyli superpartii, najbardziej etatystycznego ugrupowania w dziejach III RP. Bo po prostu woleli Dudę.

Pojawiają się emocje logicznie nie do ogarnięcia, uwaga jest wciąż skupiona na kilku pretendentach, a potem tylko dwóch. Każda wpadka, niezręczność albo dobra riposta czy udana debata – od razu zmieniają notowania. Czas społecznej reakcji jest znacznie krótszy, bo łatwiej zmienić zdanie o jednym człowieku niż o całej formacji. Walka z reguły jest bardzo wyrównana. Poza wyborami w 1990 i 2000 r. różnice pomiędzy głównymi rywalami zarówno w pierwszej, jak i drugiej turze wynosiły kilka punktów procentowych.

Nie brak opinii, że w nadchodzącej kampanii nie powinno się dążyć do frontalnego zwarcia z Dudą, bo obecny prezydent podoba się wielu wyborcom. Należy zatem z grubsza iść jego konserwatywnym, tradycyjnym, swojskim tropem, tyle że bez awantur i z poszanowaniem prawa. Na takiej strategii zamierza się umacniać Władysław Kosiniak-Kamysz. Inni uważają, że trzeba uderzyć całościowo, generalnie zanegować model prezydentury Dudy, uzmysłwić, jakie kompetencje ma głowa państwa – polityka zagraniczna, obronność, pilnowanie porządku konstytucyjnego i podziału władz, zachowanie państwowej powagi i bezstronności – i jak daleko od takich standardów odbiega obecna prezydentura. Tutaj głównym typem był, do momentu rezygnacji z kandydowania, Donald Tusk, ale też Radosław Sikorski, może Rafał Trzaskowski (ten, jeśli w ogóle, raczej spróbuje w 2025 r.) albo Bartosz Arłukowicz

Małgorzata Kidawa-Błońska lokuje się gdzieś pomiędzy tymi kategoriami, choć zapewne przez koncyliacyjną osobowość bliżej prezesa PSL. Za obiema strategiami stoją istotne przesłanki, ale wydaje się, że prawdziwszy i politycznie ważniejszy byłby pojedyny Dudy z anty-Dudą. Oznaczałby wyrazistą, cywilizacyjną konfrontację dwóch wizji Polski, demokracji, społeczeństwa. Czy najbardziej prawdopodobna kandydatka Platformy Kidawa-Błońska dałaby radę udźwignąć takie starcie, jeszcze nie wiadomo. Zwłaszcza że do tej pory funkcjonowała w innej roli: Schetyna wysunął ją na premiera po to, aby raczej wyciszyć polityczny konflikt, „skończyć kłótnie”, jak głosiło jedno z haseł kampanii. Ten wizerunek może nie wystarczyć, jeśli kampania będzie bardzo brutalna, a na taką się zasosy.

Nadzieje i lęki opozycji

Część komentatorów twierdzi, że PiS pójdzie na frontalne zwanie z wykorzystaniem Kościola, żeby znowu dać wyborcom poczucie mocy, którego trochę im zabrakło w wyborach parlamentarnych. Sikorski w dobrej formie zapewne by sobie poradził, nie można wykluczyć, że Kidawa także, zwłaszcza gdyby została odpowiednio przygotowana – znacznie lepiej niż do roli kandydatki na premiera. Z poprzednich kampanii wynika, że kandydat musi mieć duże zdolności oratorskie. Być

może takie kryterium doboru zastosował Jarosław Kaczyński w 2014 r., kiedy nominował Andrzeja Dudę, który choć mówi różne dziwne rzeczy, zawsze bardzo wyraźnym, głośnym (często zbyt głośnym) tonem. Ewentualnej kandydatce PO sporo tu jeszcze brakuje.

Nieobliczalność prezydenckiej kampanii nie oznacza, że dla opozycji „wszystko jest możliwe”. Warto zauważyć, że dwa wspomniane wyżej blitzkriegi z lat 2005 i 2015 dały zwycięstwo jednak politykom PiS. Partia Kaczyńskiego robi lepsze kampanie i ta przewaga w przypadku elekcji prezydenckiej może mieć jeszcze większe znaczenie. Prestrogą jest też badanie IPSOS, które pokazało, że aż 10 proc. wyborców Koalicji Obywatelskiej jest skłonne zagłosować w prezydenckiej elekcji na Andrzeja Dudę. Zresztą obecny prezydent może dostać od swej partii parę marketingowych prezentów, jakieś nominacje czy kuriozalne ustawy do odrzucenia, aby mógł się wykazać „niezłomnością”. Będą też sugestie, że w swojej

drugiej i ostatniej kadencji Duda stanie się „jeszcze bardziej niezależny od prezesa PiS”, nie mając już nic do stracenia ani zyskania w sensie politycznej kariery. Jeśli zatem niepisowska strona przeprowadzi o trzy poziomy lepszą kampanię niż zwykle, drugiej tury nie będzie.

Politycy opozycji pocieszają się, że po ostatnich wyborach szanse na pokonanie Andrzeja Dudy są mimo wszystko większe, niż były przed 13 października. Z dwóch powodów: ponieważ na opozycję zagłosowało w sumie prawie milion wyborców więcej niż na Zjednoczoną Prawicę, a przede wszystkim w Senacie PiS utracił większość dzięki zadziałaniu paktu senackiego. Ma to dowodzić, że ludzie Kaczyńskiego są do pokonania, jeśli tylko

głosy niePiS nie będą podzielone, do czego ma dojść w drugiej turze wyborów prezydenckich. Ale trzeba tu zachować ostrożność. W przypadku Senatu chodzi o 100 oddzielnych zmaganiach, gdzie sztabowcy rozpoznają specyfikę regionu, dobierają kandydatów o profilu najbardziej pasującym do politycznej tradycji okręgu. Po ostatnich wyborach w PiS widać było wzajemne pretensje, że właśnie to profilowanie zostało trochę zaniedbane, że przy kilku personalnych korektach wybory dla rządzących były do wygrania. Wybory prezydenckie to inna historia: jeden polityk musi „obsłużyć” cały kraj. To inna gra, inny wymiar.

Prezes PSL Władysław Kosiniak-Kamysz wciąż zatem lansuje prawyborcy w całej demokratycznej opozycji, które miałyby wyłonić wspólnego kandydata na prezydenta, trochę na wzór paktu senackiego. Widać w tym zamysł, wynikający z osobistej kalkulacji, ale Kosiniak może mieć racjonalną skądinąd intuicję, że ten, kto przejdzie do drugiej tury wyborów prezydenckich, nie musi mieć finalnie większych szans niż np. trzeci zawodnik w pierwszej odsłonie wyborów. Może być tak, że np. kandydat Koalicji Obywatelskiej przejdzie do finału (zakładając cały czas, że taki będzie), ale już w pierwszej rundzie wykorzysta cały swój potencjał i potem nie będzie miał przyrostów. A szef PSL mógłby być w drugiej turze bardziej perspektywicznym kandydatem. Zdarzało się już bowiem, że nawet zwycięzca pierwszej tury nie wygrał wyborów. Tak było w 2005 r., kiedy Tusk wygrał pierwszą turę z Lechem Kaczyńskim z przewagą ponad 3 pkt proc., by drugą przegrać o 8.

Problem w tym, że w takich ogólnopozycyjnych prawyborach Kosiniak zapewne by nie wygrał; paradoksalnie, kto wie, czy większych szans lider PSL nie ma jednak w pierwszej „rozdrobnionej” turze wyborów prezydenckich. Można się

Można się spodziewać, że w drugiej turze wyborcy przegranych kandydatów opozycji w sporej części nie pójdą do urn. Kluczem do sukcesu jest więc kandydat, który nie zniechęci elektoratu Lewicy i PSL.

